

Potomkowie zbuntowanego pułkownika. Cz. II

PO NITCE DO KLĘBKA

W poprzednim odcinku.

Po odkryciu w lesie tajemniczego grobowca nasunęło się podejrzenie, czy spoczywający tam Kalksteinowie nie mieli jakiegoś związku z chlubnie zapisaną w historii Polski postacią o tym samym nazwisku. Pierwsze próby znalezienia odpowiedzi na pytanie, jaka więź łączyła Ludwiga von Kalkstein z Żydowa z bohaterem powieści i filmu, oprócz mglistych poszlak nie wniosły nic więcej.

Znowu upłynęło trochę czasu. W wirze innych zajęć kwestia ustalenia tożsamości Kalksteinów z Żydowa zeszła na dalszy plan, ale zakodowane wcześniej hasło: „Kto to taki?” utkwilo w pamięci.

Udzielenie odpowiedzi na to pytanie było wówczas niemożliwe. Brakowało podstaw; jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie (lub zaprzeczenie) postawionej tezie. Z Żydowa zniknęły dawno temu. Brakowało ich też w Barlinku, mieście egzystującym w szarej codzienności osładzanej mitami i fantasmagorycznymi legendami. Historia nie miała tu racji. Zepchnięto ją w niebyt, a jej nieobecność wytworzyła dziejową próżnię. Wydobyć z tej pustki cokolwiek, w istniejących warunkach, z góry skazane było na niepowodzenie. Pozostał jedynie milczący, zdewastowany grób w lesie i... błakające się w myślach pytanie, czy spoczywa tam potomek sławnego pułkownika (?), czy jest to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk?

Co zrobić, żeby pogrążony w mroku niewiedzy grób wreszcie przemówił? Jak rozwiązać zapętłony węzeł ludzkich losów wplątanych, być może, również w tutejszą historię? Mimo pozrywanych dziejowych nici postanowiłem pójść dalej tym beznadziejnym w tamtym czasie tropem.

Trop zawiódł w zupełnie nieoczekiwane miejsce.

O czym powiedziała szpitalna księga

Były już lata 90. ubiegłego wieku. Podczas pracy nad odsłanianiem nieznanych dotąd kart dziejów Barlinka szukałem wówczas danych dotyczących wczesnych lat powojennych. Najciemniej przedstawiał się tu rok 1945, liczył się więc każdy dokument. Nawet taki, jak „Księga przyjęć” do tutejszego szpitala*. Na szczęście zachował się taki egzemplarz zaprowadzony przez niemiecki jeszcze personel.

Gruby foliał obejmował około 2600 pozycji, z datą początkową „1 stycznia 1945 r.” i prowadzony był do końca września 1946 roku. Każda pozycja to jeden pacjent przyjęty do szpitala, z wieloma o nim adnotacjami i przyczyną hospitalizacji. Wpisów dokonywano odręcznym pismem w języku niemieckim (końcówka już po polsku, ale mniej starannie). Interesował mnie wtedy głównie przełom dziejowy, czyli okres przed i po tzw. „wyzwoleniu” /zima i wiosna 1945/ oraz to, jak ten epokowy moment utrwalony został ze szpitalnego punktu widzenia. Innymi słowy: jakie tam odnotowano przypadki a zwłaszcza personalia i jakie z tych wszystkich adnotacji można było wyciągnąć dalsze wnioski. Karta po karcie i słowo po słowie przeglądałem kolejne pozycje poprzecinane pionowo mnóstwem rubryk: kto, skąd, kim był, od kiedy do kiedy w szpitalu, dlaczego..., itp. informacje.

Przed oczami przesuwaly się mnogie kolumny nazwisk, adresów, dat, miejscowości...

Jak z nich wynikało, barlinecki szpital obsługiwał wówczas duży obszar terenu, aż po Myślibórz, Pyrzyce, Strzelce i Choszczno. W pewnym momencie baczniejszą uwagę ściągnęła na siebie miejscowość „Siede” (Żydowo), powtórzona niżej jeszcze raz.** Spojrzałem na datę - w obu przypadkach był to 26 luty 1945 rok.

Koszmarny poniedziałek

Tego dnia do szpitala trafiło naraz dwoje ludzi z Żydowa. Prawdopodobnie przywieziono ich razem, o czym dowodziły stojące blisko siebie zapisy w księdze (łącznie w ów lutowy poniedziałek przyjęto 12 osób wymagających medycznej pomocy). Już miałem przesunąć wzrok niżej, gdy nagle uderzyło w oczy znajome nazwisko: „Ludwig von Kalkstein”! Czyżby to był ten z tajemniczego nagrobka? A może to inny Kalkstein? Szybko porównałem dane osobowe, te z nagrobka i te z księgi... Ten sam!! Ta sama data urodzenia, miejsce, imię...! A więc to dziedzica Żydowa przywieziono do barlineckiego szpitala!! W księdze brakowało wszakże daty zgonu, a zamiast niej widniał dzień wypisu: 21 marca. W szpitalu zatem nie zmarł, ale przecież w napisie nagrobnym figuruje data śmierci: „27 marca 1945”, czyli sześć dni po opuszczeniu przezeń szpitala. W ciągu tych sześciu dni musiało stać się z nim coś niedobrego.

Krótki namysł i konkluzja.

Z księgi wynikało, że na oddział położono go z objawami bólu serca - „herzleiden” brzmiał zapis i obok jeszcze coś po łacinie dopisane ręką dr Schwartza. Może był to zawał (?), bo Ludwíg w szpitalu przeleżał blisko jeden miesiąc (24 dni)! A może już podleczonej nie przeżył kolejnego ataku? To by wyjaśniało wszystko i żadnej w tym sensacji. Nie był wprawdzie jeszcze stary - miał zaledwie 57 lat.

Jakże się myliłem.

Spokoju bowiem nie dawała inna dziwna zbieżność okoliczności. W tym samym dniu (a może i w tej samej godzinie) razem z dziedzicem do szpitala przywieziono z Żydowa pewną kobietę. Starsza już pani (71 lat) nazywała się Lina Schiiler (z domu Ziebarth). Z sąsiedniej rubryki wynikało, że pani ta nie była przeciętną wieśniaczką, tylko małżonką ochmistrza dworu Kalksteinów - Fritza Schulera. Rozpoznano u niej to samo co u Ludwíga: „herzleiden” - atak serca (?). Jej również nie odesłano do domu, lecz - mimo przepełnienia - zatrzymano w szpitalu. Oznaczać mogło to tylko jedno: u obojga stwierdzono stan zagrożenia życia i konieczność podjęcia natychmiastowych działań ratunkowych.

Pojedyncze zapisy, poza suchą rzeczową informacją, nie wniosły niczego nadzwyczajnego. Żadnych rewelacji. Dopiero odczytane razem, a następnie skojarzone i powiązane ze sobą obie notatki zaczęły przemawiać innym, wyraźniejszym językiem. Pobudziły też wyobraźnię. Ta zaś podpowiedziała, że to nie mógł być zwykły przypadek! Nieprawdopodobne, aby w jednym miejscu i w jednym czasie dwoje ludzi doznało nagle tej samej przypadłości! Musiała być wspólna przyczyna! Jakiś powód, który doprowadził do alarmowego stanu dwie prominentne osoby wioski. Jedyne wnioski, jaki nasunął się po przeanalizowaniu obu enigmatycznych zapisów to taki, że coś złego musiało wydarzyć się w Żydowie w ów lutowy poniedziałek; że rozegrał się tam jakiś dramat.

Ale jaki?

Na to pytanie nie była w stanie odpowiedzieć ani szpitalna księga, ani nagrobne epitafium. Zagadki śmierci ostatniego właściciela Żydowa, a zwłaszcza pochodzenia rodu Kalksteinów i tym razem nie udało się rozwiązać.

Cierpliwość została wkrótce nagrodzona.

Kuzyni

Prawem odkryć rzadzi często przypadek. Taki właśnie przypadek sprawił, że owiana dotąd mrokiem tajemnicy postać Ludwíga von Kalkstein (1887-1945) niespodziewanie ujrzała światło dzienne. Stało się to nie w Żydowie, nie w Barlinku, a... w Gorzowie.

Otóż w kwietniu 1996 roku w gorzowskim Muzeum Okręgowym odbyła się promocja wspomnień autorstwa Hildegardy von Laer z d. Klitzing. Nazwisko „von Klitzing” (podobnie jak przedtem „von

Kalkstein”) też nie było mi obce. Klitzingów kojarzyłem z pobliskim Dzikowem a także z Brunkami (byli właścicielami tych wiosek), ale przede wszystkim z Barlinkiem. To oni zafundowali temu miastu okazałą budowlę, a inną, nie mniej okazałą, mieli jakiś czas w swym posiadaniu. Co więcej, w uznaniu zasług ówczesne władze miejskie przyznały baronowi Dietrichowi von Klitzing z Dzikowa tytuł „Honorowego Obywatela m. Barlinka”. Był on bodajże pierwszym tutaj człowiekiem, który obdarowany został tym zaszczytnym tytułem.

Praca Hildegardy von Laer nie była jednak poświęcona tutejszym Klitzingom. Autorka, co prawda, była z nimi spokrewniona, ale pisała o innej, głównej gałęzi rodu. Jej wspomnienia dotyczyły rodowego majątku Sosny (d. Charlottenhoff) - miejscowości położonej k. Witnicy i przedstawiały tamtejszych Klitzingów. W memuarach przywołała m.in. pamięć pozytywnych stosunków pomiędzy Niemcami i Polakami w okresie rozszalałego nazizmu.

Na promocje książki przybył z Niemiec także kuzyn Hildegardy. Nazywał się Klaus Karbe i do Gorzowa przyjechał z Poczdamu.

W toku dyskusji, jaka nastąpiła po prezentacji książki Karbe zabrał głos i powiedział, że zna jeszcze inny przykład dobrego traktowania Polaków w czasie II wojny światowej. Na dowód wymienił nazwę miejscowości k. Barlinka i nazwisko jej właściciela. Wioska, o której mówił nazywała się Żydowo, a jej dziedzicem, do 1945 roku, był Ludwíg von Kalkstein. Karbe nazywał go swym wujem.

Wystąpienie Klaus Karbego wywołało żywe zainteresowanie słuchaczy. Po zakończeniu spotkania poproszony został o przelanie na papier tego wszystkiego o czym przed chwilą powiedział. Zgodził się na to. W rok później jego wspomnienia ukazały się drukiem w NRH-A nr 4*** Na łamach przytoczonego wyżej „Rocznika” sprecyzował najpierw więzy jakie łączyły go z Żydowem. We wstępie napisał na ten temat tak:

„- Siostra mojej matki była żoną Ludwíga von Kalkstein (...). Byłem tam częstym gościem, ponieważ w Żydowie miałem 3 kuzynów i jedną kuzynkę, moją rówieśnicę. Było to w pierwszych latach drugiej wojny światowej, kiedy jeszcze chodziłem do gimnazjum”.

W sielskim otoczeniu Klaus spędzał chętnie każdy wolny od nauki czas, głównie ferie i wakacje szkolne. Lubił wujka Ludwíga i ciotkę Elizę, a szczególną sympatią darzył równoletnią mu kuzynkę Barbarę (starsi odeń kuzynowie powołani zostali do służby wojskowej).

Był też bystrym obserwatorem.

Faworyzowani jeńcy

Jak we wszystkich majątkach ziemskich w Niemczech tak i w Żydowie pracowali jeńcy wojenni. Uzupełniali oni brakującą siłę roboczą w miejsce

odesłanych na front miejscowych mężczyzn. Najwięcej było tam Rosjan, Ukraińców i Francuzów. Mniejszą grupę stanowili Polacy.

Młody Karbe zauważył, że ci ostatni cieszyli się w Żydowie specjalnymi względami - oczywiście na tyle, na ile pozwalały surowe wojenne przepisy oraz pilnujące obcokrajowców cywilne i umundurowane służby państwowe.

- Rzucano mi się w oczy - pisał - że mój wuj dbał o to, żeby z jego polskimi jeńcami obchodzono się przyzwoicie. Pozycję człowieka zaufanego i szczególnie uprzywilejowanego miał u wuja jego ogrodnik. Był nim Polak- Andrzej Grzybowski, którego my wszyscy nazywaliśmy „Andreasem”.

- Nieraz widziałem - kontynuował - jak wuj za pośrednictwem swego zaufanego ogrodnika ukradkiem przekazywał polskim robotnikom reglamentowane artykuły, takie jak żywność, alkohol i tytoń (w Żydowie działała wówczas gorzelnia — przyp. K.H.). Wiedziałem też, że takie postępowanie było kategorycznie zabronione i że przekroczenie tego zakazu narażało na nieprzyjemne konsekwencje. Świadom grożących za to sankcji zapytałem kiedyś wuja, czy nie boi się, jeśli niemieccy nadzorcy o tym się dowiedzą? Wtedy wuj, puszczając do mnie oko, powiedział:

- Wiesz, my Kalksteinowie, sami prawie jesteśmy rodem polskim.

Portret oficera w zbroi

- Zaskoczyły mnie te słowa - pisze dalej Karbe - bo nic na ten temat nie wiedziałem. Zaskoczyły mnie tym bardziej, ponieważ wuj na krótko przedtem poprosił mnie, abym starannie przerysował tablicę jego przodków. Spełniłem jego prośbę i na ozdobnym podkładzie odwzorowałem drzewo genealogiczne Kalksteinów. Dzięki temu wiedziałem, że wśród antenatów mojego wuja od pokoleń znajdowały się jedynie osoby pochodzące z rodów pruskich. Jeśli nawet wśród nich znajdowała się jakaś rodzina o polskim nazwisku, to od pokoleń przyjęta została za pruską.

- Widząc brak przekonania w moich oczach i niedowierzenie na twarzy, wuj zaprowadził mnie do sali jadalnej. W niej, na jednej z dłuższych ścian wisiały liczne portrety olejne; wszystkie o dużych rozmiarach. Dwa z nich pochodziły z drugiej połowy XVII stulecia. Wuj zaprowadził mnie przed jeden z tych konterfektów i poprosił o przyjrzenie mu się. Wskazany przez niego portret przedstawiał poważnego mężczyznę w zbroi i o intelektualnym wyrazie twarzy, co -jak na oficera - wydało mi się trochę dziwne. Patrząc na ten obraz wuj opowiedział mi następującą historię.

Cdn. Kazimierz Hoffmann

* Księga z tytułowym nadrukiem: „A. Boegler's, Krankenhaus - Aufnahmebuch, Muster 35. Nurnberg 1906 (Nachdruck verboten).

** Krankenhaus - Aufnahmebuch, s. 40 póź. 286 oraz tamże: s. 41 póź. 289.

*** Nadwarciański Rocznik Historyczno - Archiwalny nr 4, Gorzów 1997, Klaus Karbe, „Ród Kalksteinów z Żydowa (Siede) koło Barlinka”, s. 251-256 (w tłumaczeniu Stanisławy Janickiej).